

Kultura

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Sen o dwóch zdaniach

Dwie mrówki o postawie wyprostowanej, w miarę wyprostowanej, to znaczy już tylko na dwóch łapach, czyli dłonie już wolne, te kości w rękawiczkach od urodzenia z trupiej skóry już mogą nerwowo mieć kapelusze, co się od zawsze ledwo kupy trzymają. Wielka mrówka Didi i mała mrówka Gogo, długi Didi i krótki Gogo, tyczka grochowa i blade kurdupele od cierpiących stopach. Dwie takie mrówki, nie do pomylenia, ale strach ten sam, dwa różne sposoby zagadywania strachu, lecz po dnie idzie jeden ciemny prąd, identyczna niepewność.

Didi i Gogo, dwie byle jakie mrówki, byle jacy ludzie. Przyczłapali skądkolwiek, bez znaczenia skąd, byle jaką drogą, pod drzewo byle jakie. Kęs byle jakiej marchewki i byle jaka rzodkiew na deser. Nieźle to było, nawet smakowało, reszta na jutro, z byle jaką rzepą będzie jeszcze lepsze. Nażarci byle czym, byle jak czekają na byle co, doprawdy – na cokolwiek. Już nie na pewność, nawet nie na cień pewności. Cień cienia całkowicie im wystarczy, byle by tylko zamajaczył, na mgnienie, byle by móc go zobaczyć, wyczuć i móc zapamiętać, móc pamiętać, że jest mimo wszystko. Ten akurat cień cienia nazywa się Godot, w sumie – może być. Jeśli inny cień cienia, co go jeszcze nikt nie doczekał, nazy-

wa się Bóg, to ten może zwać się Godot, czemu nie. Zwłaszcza, iż niektórzy powiadają, że to wszystko jedno, że to ten sam cień tego samego cienia. Czekają, czekają na jutro, zakopane w dziurawych kieszeniach na jutro czekają marchew i czarna rzepa, czekają nieludzko cierpiące stopy mrówki Gogo i na amen rozczłapane buty, które już chyba ze sto razy obeszyły trzecią od słońca planetę, co ją Beckett zafajdaną gatką nazywa. I pod tym od urodzenia uschniętym drzewem, które dla jakiegoś przykrego dowcipu z ludzkich nadziei nagle wypuści parę zielonych liści, co niczego nie zmienia, sprawy będą szły, jak od zawsze i wszędzie szły, i jak iść będą wszędzie i już do końca. Cień cienia wysze do mrówek chłopca, który przeprosi i zapewni, że dziś nie, ale jutro cień cienia pojawi się bez pudła. Słońce znowu się położy, a później znowu wstanie, wciąż to samo i wciąż tak samo. Jak w pierwszym zdaniu powieści „Murphy”. *Słońce, nie mając wyboru, świeciło na nic nowego.* Mrówki też nie mają wyboru. I w tym jest całe gorzkie, spokojne przerażenie Becketta, który nigdy nie znalazł dobrego powodu, by zamykać oczy przed światem. Do końca patrzył prosto i bez złudzeń. Jakby los łaskawie obdarzył Go brakiem powiek.



Dziękować Bogu, tyle już napisano o „Czekając na Godota”, że całkiem spokojnie można tej niebotycznej góry analiz nie czytać. Można znowu wrócić do Becketta. Czytać raz i drugi, czytać piąty i dziesiąty, czytać, czytać. Jak Stanisław Świder. Czytać można, czytać trzeba, uważnie, czytać warto, bo wtedy rozgarnięty człowiek odkrywa, że przecież wszystko jest tutaj i tylko tutaj, całe fenomenalne życie, całe teatralne ciało, jego oddech, rytm, smak i delikatność, wszystko jest w zdaniach Becketta. Już nie mam wątpliwości, już wiem jasno, że czystość tej reżyserii to jej dyskretna prostota. Czy dziś rzeczywiście niepojęty

być musi ów stary banał, że jeśli już ludzkości, jak ślepej kurze ziarno, zdarzyło się parę genialnych tekstów dramatycznych, to wystarczy tylko zrobić wszystko, by ich nie spłoszyć własnym, kurzym mędrkowaniem, co się po jednym zwoju mózgowym snuje. Obecność Świdra jest jak obecność mądrego kamerdynera. Właściwie nie ma go, właściwie nie reżyseruje, tylko otwiera drzwi. Na małej scenie układa z ociosanych pni byle jaką drogę, stawia byle jakie drzewo i sztuczny kamień, otwiera drzwi do teatru i staje się tak, jakby dwie mrówki, Didi i Gogo, dwaj włóczędzy wchodzili doń sami z siebie, bo tak im się chce, wprost

z ulicy, żeby trochę posiedzieć, znowu spróbować zagadać ciemny prąd, co idzie po dnie serca, by znowu czekać i się nie doczekać. Świder dłużej tylko w „Godocie...”, udało mu się nie spłoszyć świata ulepiętego przez pisarza o twarzy sępa, co przylatuje spoza czasu. Świder uwierzył tylko w „Godota...” i jeszcze w ów legendarny list Becketta, gdzie jak byk stoi napisane: *Moje dzieło jest sprawą podstawowych dźwięków (...) wydanych jak najpełniej i za nic innego nie biorę odpowiedzialności. Jeśli ktoś chce, żeby niedomówienia przypływały go o ból głowy, proszę bardzo. I niech sam zaopatrzy się w aspirynę.*

W Tarnowie nie ma niedomówień. W XX wieku chyba nikt, jak Beckett, nie pochylał się nad ludzkim mrowiskiem z tym niepowtarzalnym rodzajem czułości, która kompletnie wyklucza tanie łzy. U Świdra nie ma żadnych niedomówień, nie ma miejsc na tanie łzy, jest krótko za uźdź trzymana czułość, która nie ma złudzeń. Nie będzie inaczej, może być i będzie tylko tak... Jest jak tyczka grochowa Didi Jana Mancewicza i blade kurdupele Gogo Marka Kępińskiego, i jest taniec ich słów, które uparcie chcą wypełnić pustkę, na śmierć zagadać czas, a wszystko grane prawie idealnie w środku, bez staczania się w skrajność beczelnie filozoficznych dywagacji lub w skrajność epatowania jakąś

pozał się Boże tanią żebraczą rozdajowością. Jest może trochę za mocno przyciskający pedał pruskiego drylu Pozzo Zbigniewa Kłopotckiego i jest przyczepiony do liny jakiś porażający rodzaj ludzkiej pustki, czyli tresowany przez Pozza Lucky Dawida Żłobińskiego – jak lălecčka zrobiona z trzciny. Jeszcze tylko rzodkiewka, rzepa, i znów Żłobiński, tym razem jako Chłopiec, co przychodzi i mówi, że wprawdzie już nie dziś, ale z pewnością jutro cień cienia mignie. I już. Jest wszystko, czego trzeba Beckettowi, bo Beckettowi wystarczy być co.

Didi i Gogo, dwie mrówki o swobodnych dłoniach, swobodnych, żeby mogły tamsić strach ukryty w starych kapeluszach. Znowu nie ruszają się z miejsca. Znamy to, bo znamy siebie. Kości wtłoczone we wdżianka z trupich skór zasypiają pod drzewem, co na ironię urodziło parę zielonych liści. Śnimy dwa zdania. *Przegraj jeszcze raz. Przegraj lepiej.* I budzimy się z uśmiechem, bo wiemy, co już ktoś powiedział, wiemy, że nawet jeśli dziś przegramy mniej, to i tak w istocie przegramy więcej, bo o kolejny raz.

Teatr im. Ludwika Solłskiego w Tarnowie. Samuel Beckett „Czekając na Godota”. Reżyseria Stanisław Świder. Scenografia Krystyna Kuźmińska.